



Eugeniusz Toman

Podniebni żołnierze

Eugeniusz Toman

Podniebni żołnierze

*Pamięci pradziadka Tomasza,
dziadków Jana i Bonawentury
oraz ich rodzin dotkniętych skutkami wojny*

ISBN 978-83-60593-27-1

1 Jesteśmy nad Dęblinem! Teraz zniżamy się do świateł w dole... Zataczamy koło, żeby wejść na trasę powrotną. Miasteczko jarzy się jak harcerskie ognisko... Dookoła nieprzenikniona ciemność. Lecimy nad ruinami fortu, których się tylko domyślam. Na lewym trawersie świeci plac batalionu saperów w historycznej cytadeli... W czarnej przecince krwawi gwiazda – to pomnik masowej zagłady sowieckich jeńców wojennych w byłym niemieckim stalagu... W pochyleniu skrzydła, za smolistą strugą Wieprza, leży poczerniały cmentarz żołnierzy–legionistów...

Sunę z instruktorem przez lotnisko z gromadką światełek garnizonowego osiedla i Portu Lotniczego, który do złudzenia przypomina niewielki zameczek z wieżą i tarasem. Po prawej w tył przesuwiają się fioletowo-białe długie linie kropek pasa startowego i drogi kołowania, ale tam nie będziemy lądować. Z północno-zachodniego krańca lotniska podpływają budynki w kształcie podkowy, otaczające plac o rozmiarach sporego lądowiska śmigłowców. U jego wejścia, przy kamiennych murkach, stoją rzędem lampy prowadzące do stadionu. Wąż ulicznych latarni sunie szybko pod nami, zakręca w lewo i kładzie złamane cienie na dachy baraków, okala je w prawo i kieruje się ku pionowej ścianie pomnika lotników, z czerwonymi światłami na szczycie.

Wznosimy się. W ciemnym parku utonęła willa komendy szkoły i znikł pałac Jabłonowskich. Pośród czarnych koron

drzew skrył się stadion z pływalnią i torem przeszkód, zmały pękate garby hangarów, budynek kadetów, asfaltowy plac ze stołówką z wydłużonym schodkami, pionowym skrzydłem na podmurówce, oddziałem szkolenia i koszarowcem podchorążych. Miejsce mojej tresury... Ileż tam przeszedłem musztry i odbyłem alarmów... Chociaż odrzutowiec w górze huczał po swojemu, w dole panował bezruch, nie poruszały się żadne pojazdy. Jedyne przy ekranach radarów i radiostacji na stanowisku dowodzenia pracowały służby lotniskowe, przy hangarach czuwali niewidoczni wartownicy. Pozostały personel lotniczy na osiedlu i żołnierze w koszarach spali, prócz służb dyżurnych, na ile było to możliwe, spokojnym snem. Wokół zaległa cisza, wyjąłowiona z żołnierskich marszów i biegania, krzykliwych komend i rozkazów. Poniżej odpoczywali też moi koledzy, którzy nieco wcześniej zakończyli latanie. Przeleciałem nad ich snem...

Podparłszy się na łokciach, nasłuchiwałem... Słyszeć jakieś szumy, stuki, szmery? Boli mnie głowa! Dla pewności potarłem uszy. Szumy nie ustają... Coś się jednak dzieje, trzeba się ruszyć. Niechętnie odgarnąłem z siebie dwa szare koce z prześcieradłem i z piętka ostrożnie zsunąłem się na obłą podłogę. Pod stopami chłodne deski, w nozdrzach duszący zapach pasty. Cholera, dyżurny sali przesadził z tym pastowaniem! Spokojnie, muszę się zastanowić, pomyśleć...

Brzdęk! Coś upadło. Teraz szuranie po deskach. Ktoś czegoś szuka? – Co jest, do jasnej cholery!

Wytrzeszczyłem gały do granic możliwości, lecz w mroku niewiele wyłowiłem. Tylko jakieś sylwetki, błędne cienie... Naraz łomot i kopnięcie. Prask...! – przeleciało wzdłuż sali jak w dominie. Coś trzasnęło w taborety. Och, to jakiś niemy spektakl: tasują się zjawy, potęgują stukoty, bez żadnych odgłosów, krzyków, komend. I ani jednego przekleństwa? Zen, gdzie jesteś? – dotykałem bezładnie odrzuconych na bok koców parterowego legowiska; były ciepłe, lecz opuszczone. Zenek zniknął. Nie, nie, tylko nie to, chce mi się spać! Postawiłem gołą stopę na metalowym obrzeżu, żeby z powrotem wciągnąć się na swoje leże, gdy przez gwałtownie otwarte drzwi na korytarz, przez całą szerokość wejścia–wyjścia wpadło mdłe światło, a z nim Masa – syn nauczycielki z Torunia; w żółtawym mroku ledwie go rozpoznałem. W prawej ręce lekko dzierżył kałasznika. Oho, to jakiś głupi dowcip albo sen, pomyślałem, jest trzecia, czwarta w nocy, nie dam się nabrać.

– Pies, pospiesz się! – rzucił mi Masa prosto w twarz.

Pospiesz się?! Mam się pospieszyć? Powinienem pospieszyć pośpiech, cały wejść w pośpiech, stać się pośpiechem? Bez wątpienia miałem skwaszoną minę, i wręcz zdrętwiałem, przytrzymując nogę na metalowej krawędzi; przypominałem pewnie kukłę w pionowe niebieskie paski, gdy Masa parł już pod ledwo zarysowane w ciemności okna,

taranując swoją ciężką wagą zagradzające mu drogę cienie.
– To alarm! – krzyknął jeszcze i nic sensowniejszego nie usłyszałem. To nie były żarty.

Zanurkowałem w prostokąt drzwi i wypadłem na korytarz, żeby sprawdzić: jawa to czy sen. Pod sufitem nie paliły się jarzeniówki, jedynie nad biurkiem podoficera dyżurnego kopciła się lampa naftowa. Wbiegłem do łazienki i nacisnąłem odruchowo kontakt. Światła nie było, lecz nie szedłem po omacku; na ścianie jarzyła się inna lampa naftowa. Stojąc boso na betonie, od razu wsunąłem twarz pod kran z lejącą się do blaszanego koryta strużką. Suszyło mnie. Piłem łączywie wodę niczym dromader przed wyprawą na pustynię. Łapiąc wartki strumień ustami, powoli uświadamiałem sobie, co się wokół mnie dzieje. Gasilem pragnienie, gdy mój wciąż bezwolny stan burzyły spłoszone myśli.

Biegąc z powrotem, otarłem się o Zenka, syna kolejarza z Kłędzka, chodzącego własnymi torami, który w podskokach podciągał spodnie. Alarmowa komenda dyżurnego podoficera na pewno go zbudziła. Widział przecież, że sprężyny nad jego głową są wybrzuszone i leżałem na nich jak trusia. Dlaczego mnie nie zbudził? Jasne, w takiej sytuacji myślał tylko o sobie. Taki kolega? Nie było co dłużej o tym rozmyślać, byłem spóźniony. W przelocie przez szatnię przy kapciorze dowódcy chwyciłem ostatnią panterkę, wiszącą samotnie na wieszakach wśród płaszczy i mundurów wyjściowych nad

pólkami na półbuty, i już w sali, zrzucając z siebie piżamę, porwałem z taboretu bluzę, wskoczyłem w nogawki moro i w zgarnięte z korytarza jedyne buty, które wśród innych stały tam pod ścianą od capstrzyku. Nałożyłem panterkę, zaciągnąłem skórzany pas...

Docierało do mnie, że jeśli nie zdążę na zbiórkę, nie dostanę od szefa kompanii w sobotę przepustki. Od tego starego kawalera, dobrze po trzydziestce, z kilkudziesięcioma nastroszonymi włoskami na małej głowie, z perkatą kulką nosa, pośrodku spieczonej jak zrazi wydłużonej gęby, zwanego Koniem. Ta koścista szkapo obarczy mnie dodatkową służbą dyżurnego poza kolejnością lub dołoży mi jak amen w pacierzu trzy dni zoku na piątek, sobotę, niedzielę. W pełnym rynsztunku, w polowym mundurze, z plecakiem, bronią, w wypolerowanych buciorach i hełmie na zwieńczeniu, co dnia rano i wieczorem przed oficerem dyżurnym oddziału szkolenia będę okazywał żołnierski rynsztunek. W tej konkurencji nie z własnego wyboru byłem rekordzistą kompanii. Tego cholernego zakazu opuszczania koszar uzbierałem aż czterdzieści siedem dni!

Machnąłem ręką: dowódcy i tak reguły stosują po swojemu. Na poprzednim alarmie specjalnie zajęliśmy z Ciapciakiem czołowe miejsca i... nie dostaliśmy nagrody. Czyli przepustki na miasto. Major Tata uznał, że taki rarytas nam się nie należy, bo jesteśmy zbyt przekorni, to jest niepokorni.